Nr. 4. Kraków. Lipiec 1915. Rok IX.



REDAKCYA
i Administracya:
Kraków,
ul.
Franciszkańska
L. 3.

Cena podwójnego egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU IV-go:

Serce Jezusa a wojna.

Kiedy w roku 1809 wkroczyły zwycięskie zastępy tyrolskich powstańców do zdobytego Innsbrucka, naczelny ich wódz, Andrzej Hofer — polecił uroczyście obchodzić święto Serca Jezusowego. Po nabożeństwie odbyto wielką procesyę po mieście, a za przykładem stolicy kraju, poszły wszystkie wsi i miasteczka pobożnego Tyrolu. W roku wielkiej wojny oddano cały kraj pod opiekę Serca Jezusowego. I Serce Jezusowe okazało się łaskawem dla wiernego ludu.

W czasie wojny francusko-pruskiej, świątobliwy generał francuski Sonis — kazał nieść na czele pułków, ruszających do ataku sztandary z obrazem Serca Jezusowego. Pułki pobożnego generała najlepiej walczyły i okryły się wielką chwałą.

Na początku obecnej wojny, wojska austryackie, maszerujące na Lublin miały na czapkach płóciennych obrazki z Boskiem Sercem Jezusa. W przemarszu przez Tarnów, zdobiły temi obrazkami żołnierzy zakonnice „Sacre Coeur“ (Serca Jezusowego). Wielu prosiło o kilka obrazków — na zapas, by, gdy się jeden zniszczy, przypiąć nowy.

Pułki „Sercem Jezusa“ zdobne, rzeczywiście najstraszniejsze przeszły ognie; żołnierz znosił jednak wszystko mężnie; obok bowiem cesarskiego znaku, nosił na czapce znak Boskiego Wodza, Jezusa. A ten znak Jezusów budził w nim świadomość dobrej sprawy, o którą walkę podjął i napawał mu serce ufnością w pomoc Bożą. I wszędzie stawał ten żołnierz z „Bo-

skiem Sercem Jezusa“ na czole — mężnie, szedł, gdzie kazano, bez lęku.

W Jezusie uważało to żołnierstwo swego wodza, a w Jego Boskiem Sercu swój znak wojenny. I słusznie. Wszak to Serce Jezusowe, owo siedlisko najwyższej miłości, pokory i sprawiedliwości jest godłem owej wielkiej wojny, jaką On, Zbawiciel świata rozegrał z samolubstwem, pychą i nieprawością piekła.

Miłość ku grzesznym synom ziemi sprowadza Jezusa z nieba na ziemię. Miłość oblec się każe Jego Bóstwu w naturę ludzką. Miłość wiedzie Go na szczyt Golgoty i na krzyżu rozpina. A tam, ludzkie Serce Jezusa ogromu Boskiej miłości przenieść nie może i szuka upustu. Nastawia się na ostrze włóczni żołdaka. Z otwartej rany ostatek krwi wypłynął. Jezus wydał z Siebie wszystko, co miał, na okup umiłowanej ludzkości. Miłość Go zabiła i miłość Serce Mu rozdarła. Ale ta włócznia, co to Serce rozdarła i ostatek krwi zeń wytoczyła, odtrąciła miecz Cherubina, broniący grzesznym synom ziemi wstępu do wiecznych przybytków. A tak, zwyciężony — stał się zwycięzcą, a przebite Jego Serce: godłem zwycięstwa miłości.

Pojęli tę miłość Jezusowego Serca ci, co się Jego znakiem ozdobili. I oni poszli na krwawe boje z miłości; ponieśli w ofierze krew i życie, by rodakom lepszą dolę wywalczyć. A szli ochotnie, bo szli pod zwycięskim znakiem miłości Serca Jezusowego.

Gdy zaś na te krwawe boje ruszali, zalegali tłumnie kościoły i u przydrożnych kapliczek klękali, a jak ów celnik w jerozolimskiej świątyni, bijąc się w piersi — przy spowiedzi św. i w kornej modlitwie mówili: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!“ Szli z pokorą, bo pokorę w tym znaku Jezusowego Serca czytali. Wszak Jezus sam o sobie mówił: „Uczcie się ode mnie, iżem jest cichy i pokornego serca“; a gdy szedł przez ulice Jerozolimy, na ów krzyżowy bój, „szedł pokorny, jako owca na zabicie“. Ale tą pokorą zwyciężył Jezus pychę piekła. I oni szli w pokorze, ufni w zwycięstwo nad tymi, co pychą rozparci w ucisku i niedoli trzymają słabych i niewolnych.

Gdy Pan Jezus poczynał dzieło odrodzenia świata, wiedziony wielką miłością Serca ku ludziom, zwrócił się najpierw ku owym „maluczkim“ i wzgardzonym; ubogich, cichych, płaczących, prześladowanych nazwał: „błogosławionymi“; owym zaś bogaczom i wielmożom wypowiedział straszne „biada“. Przejrzał bowiem ich serca i znalazł, iż są „pełne nieprawości“; „sprawiedliwość serc“ tylko u owych prostaczków widział. Nimi się więc otoczył, z pośród nich wybrał dwunastu — i przez nich zwyciężył nieprawość świata. Najwyższa sprawiedliwość Jego Serca stała się godłem chrześcijańskiej sprawiedliwości.

Ci, co to Boskie Serce Jezusa za godło sobie wzięli i z tem godłem na tę światową wojnę poszli, poszli „w imię sprawiedliwości“. Prostymi umysłami nie dociekali politycznych spraw, co tę wojnę wywołały. Wiedzieli jeno, „że na świecie jest źle, a po wojnie, da Bóg, będzie lepiej!“ — I o to „lepiej“ poszli na bój. To „lepiej“ w życiu religijnem, narodowem i społecznem, jest dla nich tą świętą sprawą, o którą walczą, a którą w znaku Serca Jezusowego, co ofiarą dla świętej sprawy ludzkości się stało — wypowiadają.

Miłościwe, pobożne i najwyższej sprawiedliwości pełne Serce Jezusowe zwyciężyło świat; zwyciężyło, gdy z niego ostatnia kropla krwi się wylała.

Zwycięskim znakiem Jezusowego Serca ozdobili swe czoła ci, co miłością przejęci poszli pokorni na bój w imię sprawiedliwości, krew i życie niosąc w ofierze. Jezus przyjmie tę krew ich ofiarną, a Jego miłościwe Serce sprawiedliwość nam wymierzy.

Religia — a wojna.

Jak trwoga, to do Boga. Stare to przysłowie, odwieczną prawdę głosi. Zawsze tak bywało; ten i ów różnie czasem mędrkuje; kiedy jednak bieda nań spadnie, przed Bożą prawdą kornie chyli czoła.

Dzisiejsza wojna, co grozą przejęła świat, nawróciła niejednego. Wszędzie zaś, przyczyniła się ta wielka „mistrzyni życia“ do podniesienia stanu religigijnego pośród wszystkich warstw ludności. Oto, co pisze o tem niemiecka gazeta: „Leipziger Neueste Nachrichten“ w Nr. 359:

„Musimy przyznać, że obecna wojna, budząca wszystkie uśpione siły ludzkiego ducha, obudziła w Niemczech niebywałą pobożność; wszędzie rozkwita nowe i bujne życie religijne. Świadczy o tem każdy list i każda wieść z pola walki. Serca wszystkich zwracają się do Serca Jezusowego, a ci, co od dziecka może w kościele nie byli, piszą teraz do swoich błagalne listy, by za nimi się modlili. W zgiełku wojennym dosłuchują się snać głosu Bożego, a w przeżywanej grozie, czują bliskość Boga. Usta, co dawniej do przekleństw były zdolne, teraz szepcą pobożnie modlitwy, a ręce, które dawno zapomniały kreślić znak krzyża św. wyciągają się błagalnie ku niebu.

Słusznie przeto pasterski list biskupów niemieckich nazwał dzisiejszą wojnę: „szkołą życia dla niemieckiego ludu“. Nauka z tej szkoły wyniesiona zachowa się na długo w życiu u ludzi. To bowiem, co się przeżywa na wojnie, wstrząsa do głęgi sercem ludzkiem i najsilniej go przekonywuje o marnocie rzeczy doczesnych, a wielkiej wartości rzeczy duchowych“.

Tak pisze gazeta luterska, która w swych wolnomyślnych rozumowaniach, różnie dawniej

o religii sądziła. Dziś uważa ją za wielki czynnik, wybijający się w obecnej wojnie ponad wszystkie inne.

I nie dziw — wszak to wojna! A w wojnie upada wszystko, co małe — a podnosi się i urasta jeno to, co wielkie. Na nic się dziś zdały ludziom rozumowania różnych mędrków, wykluczających z życia religię. W obliczu grozy wojennej przekonano się o jej wielkiej wartości. Ona bowiem jedna może być dla człowieka ostoją życia, wtedy zwłaszcza, gdy temu życiu grozi zagłada.

Spowiedź, doskonały żal za grzechy — uspokaja serce żołnierza w polu. Świadomość czystości sumienia usuwa ten okropny strach przed śmiercią i daje równowagę umysłu, tak bardzo w chwili stanowczej potrzebną.

Wiara w Opatrzność Bożą budzi w sercu nadzieję. Nadzieja zaś napawa serce odwagą i największe trudy i niebezpieczeństwa każe znosić spokojnie.

Modlitwa, religią nakazana, łączy duszę z Bogiem i krzepi serce w chwili stanowczej.

Dobro religii najwięcej jednak ujawnia się w chwili śmierci. Religia bowiem wskazuje człowiekowi niebo, przybytek wiecznego szczęścia, które się osiąga po trudach i znojach tego życia. Ileż to łez ta chrześcijańska prawda już otarła... Zdala od swoich, na obcej ziemi, umiera młody żołnierz. W ostatniej godzinie o dobrym ojcu i kochającej matce myśli. Już ich nie zobaczy więcej. — Nie! — Zobaczą się — tam na drugim świecie. Westchnął z ulgą — i umarł spokojnie. — Starzy rodzice dostali wiadomość, że syn poległ. Zaszlochał ojciec, zapłakała w głos matka. Już go nie ujrzą więcej! Ponieśli na Mszę św. za jego duszę. Z kościoła wrócili spokojni. Modlitwa obudziła w ich sercach wiarę, że syna znowu obaczą — tam na drugim świecie, a tam nie będzie ni wojny, ni śmierci, ni łez, ni troski, jeno pokój wieczny i szczęście bezmierne.

Któż ich lepiej pocieszy? Cóż bardziej skrzepi duszę człowieka czasu tej grozy, jak nie religia. Wszystka mądrość ludzka w tej grozie ustawa, a religia trwa, bo w niej mądrość Boga zawarta.

Uroczystość Bożego Ciała.

W dawnych wiekach chrześcijaństwa, kiedy wiara w obecność Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie i cześć i uwielbienie Jego były powszechne, nie było zdaje się potrzeby w tym celu osobnej uroczystości ustanawiać.

Ale inaczej się stało, gdy podniosła głowę herezya, która zaprzeczała prawdziwej obecności Pana Jezusa w tej tajemnicy wiary. Herezya ta powstała pod koniec jedenastego stulecia, potępiona przez Kościół, nie została jednak zupełnie wykorzenioną. Aby jej koniec położyć a wiarę i miłość ku Najśw. Sakramentowi zapalić i wzmocnić, ustanowił Kościół Boży, osobną uroczystość Bożego Ciała, którą odchodzimy we czwartek po Trójcy Przenajświętszej.

Jak później uroczystość Serca swego, tak przedtem uroczystość Ciała swego Najświętszego objawił Pan Jezus pobożnej, w poczet Błogosławionych policzonej zakonnicy. Była nią Bł. Juliana z Kornelionu w pobliżu miasta Leodyum. Będąc wielką czcicielką Najśw. Sakramentu, miała raz we śnie widzenie, zdało jej się, że widzi księżyc w pełni, ale w tym księżycu była mała plamka. Widzenie to miało miejsce w roku 1210. Dwa lata nie ustępował ten obraz z przed jej duszy, aż po długiej i gorącej modlitwie poznała, że księżyc w pełni oznacza Kościół, a czarna plamka zapewne brak jednego święta; a ponieważ ona wciąż myślała o Najśw. Sakramencie, to też chętnie wszystko do tegoż odnosiła i nigdy nie wątpiła, że w Kościele brakuje jeszcze Uroczystości N. Sakramentu.

Myśli te jednak w tajemnicy zachowała, aż do roku 1230, w którym została przełożoną klasztoru. Wtedy to objawiła myśli swe jednemu z kanoników od św. Marcina w Leodyum. Ten naradził się w tej sprawie z archidyakonem z Leodyum Jakóbem z Troye, prosząc go, aby tę rzecz przedłożył biskupom i teologom. Zewsząd tę propozycyę pochwalono.

Juliana zachęcona tem powodzeniem sprawy jej tak drogiej i uradowana nad wyraz postarała się, aby ułożono godziny kapłańskie czyli oficyum o Najśw. Sakramencie, które też po pierwszy raz w kościele św. Marcina odśpiewano.

Dominikanin Hugo, późniejszy kardynał i legat papiezki w Niederlandach, gorliwie się zajął tą zbożną sprawą, a tak już w roku 1246 za ówczesnego biskupa Roberta święto Bożego Ciała uroczyście obchodzono i powoli je w całych Niederlandach zaprowadzono.

Gdy Bł. Juliana roku 1253 umarła, starała się jej następczyni o rozszerzenie uroczystości Bożego Ciała na cały Kościół. Jakób de Troye, zostawszy papieżem pod imieniem Urbana IV., wydał dnia 11 sierpnia 1284 bullę, rozszerzającą tę uroczystość na cały Kościół. Lecz z powodu śmierci tegoż papieża, która wkrótce potem nastąpiła, uroczystość ta nie tak prędko w życie weszła, dopiero Papież Klemens V. bullę Urbana IV. na Soborze w Viennie r. 1311 potwierdził i święto Bożego Ciała na cały świat rozszerzył.

Powodem do tego rozszerzenia były liczne cuda, jakie się podówczas zdarzały z Najw. Sakramentem i zniewagi, jakich się zwłaszcza żydzi względem tegoż dopuszczali, nienmiej herezye zaprzeczające rzeczywistej obecności Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie.

Papieże: Marcin V., Eugeniusz IV. i Benedykt XIV., chcąc wiernych zachęcić do większej gorliwości w obchodzeniu uroczystości Bożego Ciała, nadali uczestnikom mnogie odpusty.



Ojciec święty Benedykt XV.

Ojciec Święty Benedykt XV.

Starożytne miasto Genua, jest miejscem rodzinnem szlacheckiego rodu della Chiesa, który według złotej księgi sięga wieku XVI. Herb domu wyobraża kościół (Chiesa = kościół), a nad nim unoszącego się orła.

Z tej to starożytnej i znakomitej rodziny szlacheckiej pochodzi nasz obecny Ojciec św., którego rodzinne nazwisko opiewa: Jakób della Chiesa (czytaj Kjesa). Ojciec jego Józef margrabia della Chiesa, ożenił się z markizą Migliorati, z rodziny szlacheckiej i starożytnej ze Sulmony w Abruzzach; rodzina ta dała Kościołowi papieża Inocentego VII (1404—1406) jako też kilku książąt Kościoła.

Benedykt XV ujrzał światło dzienne w Genui, w domu rodzinnym, który obecnie z powodu regulacyi ulic został zburzonym.

W domu też zostało dziecię ochrzczone, ponieważ było za słabe i za delikatne, by je módz zanieść do kościoła. Według zapisków proboszcza Cardinaliego w księdze chrztu czytamy: „Roku pańskiego 1854, miesiąca listopada, dnia 22. o godzinie pierwszej po południu, przyniesiono do kościoła parafialnego Matki Bożej we winnicach (Madonna delle Vigne), nowonarodzone chłopię, dnia 21 listopada o godz. 9¾ rano urodzone w okręgu tutejszej parafii. Ojciec dziecięcia, Józef della Chiesa, margrabia, syn zmarłego Jana Baptysty; matka Joanna Migliorati markiza, córka Jana Baptysty. Z obawy o życie dziecięcia, ochrzczono je zaraz w domu. Otrzymało imiona, Jakób, Paweł, Jan Baptysta. Rodzicami chrzestnymi byli margrabia Jakób Spiniosa i markiza Anna Centurione z domu Migliorati; oboje rodzice chrzestni zamieszkali w Genui".

Ojciec św. miał jeszcze pięcioro rodzeństwa, z którego troje żyje — dwóch braci i jedną siostrę. Najstarszy brat, margrabia Jan Antoni della Chiesa mieszka w Pegli, niedaleko Genui w obecnej posiadłości rodzinnej.

Tu też w Pegli na włoskiej Rivierze w najpiękniejszej miejscowości na świecie, w kraju cudnych blasków słonecznych, gdzie róże zawsze kwitną, gdzie obok palm wysmukłych, rosną drzewa północnych krajów — spędził Ojciec św. pierwsze swe dziecinne lata, wśród uroczej i barwnej natury, chroniony troskliwie od przeciwności i szkodliwych wpływów świata. Życie wśród tak pięknej przyrody było wielkiem szczęściem dla dziecka. Nic też dziwnego, że już wtedy, w małem sercu chłopięcia, pod wpływem tego piękna przyrody, tak żywo malującej wszechmoc, dobroć i miłość Bożą, — budziły się uczucia tęsknoty i poświęcena się na służbę temu Bogu, który do niego przemawiał tak dziwnie przez dzieła rąk Swoich. Serduszko to, biło miłością ku Panu swemu. Oto co opowiada o nim ogrodnik w Pegli, dawniejszy rówieśnik i towarzysz zabaw dziecięcych.

Mały Giacomo odprawiał w pokoju swoim z całą powagą nabożeństwa, modlił się gorąco, a stojąc na balkonie prawił kazanie gwiazdom i chmurom.

Po ukończeniu szkół gimnazyalnych studyował na uniwersytecie Genueńskim prawo, na wyraźne życzenie ojca, który chciał mieć syna prawnikiem lub dyplomatą. Dnia 2 sierpnia 1875 r. uzyskał doktorat.

Oznajmiając o pomyślnym wyniku egzaminu swemu surowemu ojcu, i otrzymaniu stopnia doktora, dodał: „Uczyniłem ojcze, coś mi polecił, pozwól mi teraz, bym się poświęcił studyom teologicznym i został księdzem".

Sędziwy ojciec z ciężkiem sercem uległ żądaniu syna. Jego niezbyt chętne usposobienie w przyzwoleniu synowi, zrozumiemy, gdy zważymy, jak rozliczne i niewypowiedziane utrapienia i uciemiężenia ponosił wówczas i ponosi Kościół we Włoszech. Godność proboszcza, a w najlepszym wypadku godność kanonika, czekała utalentowanego młodzieńca. Stary margrabia ciągle jeszcze myślał o karyerze syna! Nie myślał jednak o niej młodzieniec, który z całym zapałem i gorącością ducha pragnął poświęcić się na usługi Kościoła!

Dnia 21 listopada 1875 r. wstąpił Giacomo do sławnego kolegium Capranica w Rzymie. Tu studyował cztery lata teologię w słynnym na cały świat uniwersytecie Gregoryańskim,

pod kierownictwem takich profesorów, jak Francelin, Mazella, Caterini, de Angelis, Palmieri, Villani, Valle, Zampieri. Ostatni czterej byli jego egzaminatorami przy składaniu doktoratu w r. 1875, który summa cum laude (z odznaczeniem) złożył. Dnia 21 grudnia 1878 r. w bazylice Lateraneńskiej otrzymał Giacomo z rąk kardynała Patrizziego święcenia kapłańskie, i celebrował pierwszą Mszę św. przy głównym ołtarzu w kościele św. Piotra.

Życie każdego kapłana, spędzone w odosobnieniu, na modlitwie i ćwiczeniach pobożnych, które tylko Bóg widzi, zostanie jego kosztowną tajemnicą. I u Ojca św. Benedykta XV nie godzi nam się jej przenikać; wiemy jednak dobrze, że to, co dusza w samotności zjednoczona z Bogiem nabywa, to ujawnia się na zewnątrz w uczynkach i postępowaniu. Katolik gorliwy, kocha i czci w każdym Ojcu św. zastępcę Boga, ojca, pasterza i nauczyciela, ale kocha go tem goręcej, kiedy wie, że jest świętym i pobożnym papieżem. Ta świętość i pobożność tak nas pociągała do Ojca św. Piusa X. Odnajdujemy to z radością w obecnym naszym Ojcu św.

Kiedy Ojciec św. Leon XIII. w siedmsetletnią rocznicę urodzenia św. Franciszka z Assyżu, w liście pasterskim z dnia 10 września 1882 r. znaczenie trzeciego zakonu św. Franciszka wskazywał i podnosił, Chiesa nie zwlekał, by zaleceniu Ojca św. zadośćuczynić. Zaraz dnia następnego w kościele franciszkańskim Ara coeli, prosił Ojca Bartłomieja Sanni'ego o przyjęcie do trzeciego zakonu. Było to za czasów jego nauki w akademii dei Nobili. Nie była to chwilowa, przejściowa zachcianka młodego kapłana. — Stwierdza to fakt, że w dwadzieścia lat później, gdy już był podsekretarzem stanu przy Watykanie, łącznie z innymi podówczas przebywającymi kapłanami z różnych części świata, należącymi do trzeciego zakonu św. Franciszka założył bractwo, które go w roku 1908 za swego ministra czyli przełożonego obrało. Z wielką gorliwością sprawował ten urząd aż do roku 1908, kiedy obrany arcybiskupem bolońskim, miasto Rzym opuszczał.

Przyjmując na audyencyi w roku 1914 trzech przełożonych ze Zgromadzenia św. Franciszka, zaznaczył właśnie ten długoletni stosunek swój ze synami św. Franciszka, przyczem dodał: „Dlatego wspominam te święte więzy, które mię łączą z wami, abyście się za mnie modlili!“ „Wiem — że to czynicie przez cześć i miłość dla głowy Kościoła, niemniej przeto zanoście gorliwe modły za mnie pamiętając, że „waszym“ jestem.

Po powrocie z Hiszpanii w r. 1887 wliczył nowy kardynał Rampolla młodego Chiesę w poczet urzędników sekretaryatu; zamieszkał więc Chiesa w palazzo Brazza tuż obok starej bazyliki i kościoła św. Eustachiusza.

Tu widziano go, jak opowiada proboszcz tamtejszy, każdego poranku, regularnie o godzinie szóstej odprawiającego rozmyślanie w spokojnem miejscu kościoła, nastęnie o godzinie wpół do 7 odprawiał Mszę św. Poczem udawał się do konfesyonału. Wkrótce znany był w całej parafii ze swej gorliwości i roztropności w prowadzeniu dusz. Był szczególnie popularnym spowiednikiem młodzieży, którą kochał serdecznie. Gdy przypadkiem dowiedział się o chorobie którego ze swoich młodych penitentów, spieszył natychmiast go odwiedzić. Zaraz na początku prosił proboszcza, by mógł być pomocnym w pełnieniu obowiązków kapłańskich jego parafii; chętnie podejmował się kazań, już to we święta, już to w zwyczajne niedziele. Jako prałat papieski, miał prawo do używania świecy osobnej, stawianej tuż obok mszału podczas odprawiania mszy św.: Chiesa nie przyjmował jej nigdy, a gdy mu ją ministrant zaświeconą na ołtarzu stawiał, gasił zaraz, chyba, że było to w porze zimowej, gdyż wtedy z powodu zmroku była mu potrzebną. W Rzymie jest zwyczaj, że dwa razy do roku na Wielkanoc i w Zielone Święta bywa zanoszony chorym do domów Najśw. Sakrament, w uroczystej procesyi. Nigdy przy tem nie brakło Chiesy, szedł zawsze tuż obok proboszcza niosącego Najśw. Sakrament.

Gdy był już podsekretarzem i gdy już mieszkał w Watykanie, spieszył zawsze w niedzielę do odległego kościoła św. Eustachiusza, by o zwykłej godzinie odprawić Najśw. Ofiarę, a następnie zasiadał do konfesyonału.

Co Chiesę, prócz gorliwości i poświęcenia w spełnianiu obowiązków kapłańskich robiło tak popularnym i lubianym, to jego miłosierdzie, objawiające się w czynnem niesieniu pomocy bliźnim, potrzebującym wsparcia. Cnotę tę praktykował z zamiłowaniem, a w wielkiej tajemnicy przed drugimi, stosownie do rady: „niech nie wie lewica, co daje prawica!“

W roku 1499 nad brzegiem Tybru, w miejscu dawniejszej przystani, zbudowano kościół pod wezwaniem św. Rocha, głównie dla żeglarzy i rybaków. Równocześnie z budową kościoła zawiązało się bractwo, które w r. 1657 dom boży pięknie odnowiło i ma staranie nad nim. Do tego bractwa, które licznemi odpustami i przywilejami przez różnych papieży obdarowanem zostało, zaraz po powrocie swoim z Hiszpanii zapisał się Chiesa i był zawsze jego gorliwym członkiem. Jako prałat ćwiczył się w obowiązkach bractwa, równie jak inni członkowie, podczas nabożeństw i ceremonii kościelnych wdziewał na siebie skromną szatę bracką, zwaną zazwyczaj „workiem“. Podczas odprawiania wspólnej drogi krzyżowej w każdy piątek, gdy według porządku kolej na niego wypadła, nosił krzyż idąc pierwszy. Jakże często odprowadzał z innymi zwłoki zmarłego brata na cmentarz nie wstydząc się wcale wdziewać na szatę kapłańską „worka“. Podziwiając jego gorliwość i roztropność, wybrało go bractwo najpierw do rady czterech gwardyanów, następnie w roku

1892 na swego duchownego przełożonego, a nawet gdy Chiesa został na arcybiskupstwo w Bolonii wyniesionym, nie chciało bractwo innego następcy obrać, lecz mianowało go przełożonym dożywotnim.

Zamieszkali w Rzymie mieszczanie z różnych stron kraju, pobudowali tu swoje kościoły, i jak Florentczycy, Bolończycy, Neapolitańczycy, tak samo i Genueńczycy wybudowali tu sobie kościółek pod wezwaniem św. Jana, i tuż obok przylegający szpital dla marynarzy genueńskich. Tu też powstało bractwo, a jak się samo przez się rozumie Chiesa jest jego protektorem, tembardziej, że ojciec jego pełnił tu urząd gubernatora. I tu też jak u św. Rocha budował wiernych swą pobożnością. Bawiąc w Rzymie w gościnie już jako arcybiskup boloński, poświęcił bractwu statuę marmurową, którą swemu niebieskiemu patronowi postawił.

W mieście Rzymie, ustanowioną jest nieustająca adoracya Najśw. Sakramentu, w ten sposób praktykowana, że nieprzerwanie po kolei, coraz to w innym kościele odprawia się czterdziestogodzinne nabożeństwo, także i w nocy. Dla nocnych adoracyi założone jest osobne Stowarzyszenie, składające się z kapłanów i braci. Godziny adoracyi są na dwie grupy podzielone, każda grupa składa się z czterech do pięciu osób — jedna adoruje od godziny dziesiątej do drugiej, czemu zawsze kapłan przewodniczy, odmawiając odpowiednie pacierze. W nocy o drugiej przybywa wóz, który przywozi drugą grupę mającą adorować, a pierwszą odwozi do domu. Chiesa od roku 1897 należał do tego Stowarzyszenia, jakiś czas był tegoż prezesem; ze szczególnem zamiłowaniem poświęcał noc przed Nowym Rokiem na adoracyę. Podczas pobytu swego w Rzymie, mianowany kardynałem, według zwyczaju dawnego, pragnął wziąć udział w adoracyi nocnej w kościele San Petronio, gdzie właśnie Stowarzyszenie bolończyków je odprawiało.

Od dziecka jest Ojciec św. czcicielem Matki Najświętszej. W pobliżu Watykanu, w kościółku św. Jakóba, znajduje się wierne wyobrażenie groty z Lourdes. I tu też powstało Stowarzyszenie ku czci Niepokalanej. W tym to kościółku jako prałat, dnia 8 listopada odprawił uroczyste nabożeństwo. Później jako arcybiskup boloński prowadził wielką pielgrzymkę do Lourdes. Już jako papież, kiedy miał wypowiedzieć pierwsze słowa światu katolickiemu, obrał na to dzień Narodzenia Matki Bożej.

Podczas odprawiania nowen dziewięciodniowych przed każdem świętem Matki Bożej w kaplicy Watykańskiej nigdy nie brakowało na nich naszego prałata. Jakże gorliwie nawiedzał Pana swego w Sakramencie Jego miłości!

Kardynał Bisleti, który długie lata był z Nim w bliskim stosunku, skreślił swój sąd o Nim w tych słowach: „Całe jego życie przeszło na modlitwie i służbie Bożej. Dla siebie nic nie chciał, nawet przechadzki dla zdrowia nie znał. Zaproszenie na ucztę, lub zebrania towarzyskie przyjmował rzadko, jedynie wtedy, kiedy wymagała tego sprawa jakaś lub urząd jego. Prowadził tryb życia bardzo jednostajny, wstawał wcześnie, odprawiał mszę św. w swej prywatnej kaplicy punktualnie o godzinie 6, szedł na spoczynek późno, często dopiero o północy".

Ojciec św. Leon XIII. założył w Watykanie w roku 1884 przytulisko dla pielgrzymów pod wezwaniem św. Marty i oddał je Siostrom św. Wincentego a Paulo. I tu okazał się Chiesa czynnym. Gdy przybywały pielgrzymki z Genui lub Hiszpanii, nie omieszkał Chiesa odwiedzać ich w schronisku, a gorącem przemówieniem pobudzał ich do pobożności.

W domu dla poprawy dziewcząt, pozostającym pod opieką Sióstr św. Wincentego a Paulo, którego kierownictwo duchowne powierzył Ojciec św. Pius X. kardynałowi Bisleti'emu, Chiesa ręka w rękę z nim pracował, udzielając tam regularnie nauki katechizmu. Praca ta wydawała zbawienne skutki.

Na via Merulana w pobliżu Lateranu znajduje się dom macierzysty Sióstr św. Anny. Obecna przełożona jest krewną naszego Ojca św. Klasztor liczy pięćdziesiąt Sióstr. I tu także przez długie lata w każdą niedzielę miewał do Sióstr konferencyę albo kazanie.

W wielkim pensyonacie Sióstr Sacre Coeur w kościele św. Trójcy każdego czwartku przez dwa lata miał wykład historyi Kościoła, o początkach chrześcijaństwa w Rzymie. Wykładom tym przysłuchiwała się pilnie jego matka.

Moglibyśmy jeszcze wiele pięknych rysów jego szlachetnego charakteru skreślić; wiele powiedzieć o jego pobożności, gorliwości, o żarliwości ducha, o mądrości męża, którego Bóg jako widzialnego namiestnika na szczycie swego Kościoła postawił. Na razie niech to wystarczy!

Dziękujmy P. Bogu, że w tych ciężkich czasach powołał na Stolicę Piotrową męża niezwykłej miary, jakim jest Papież Benedykt XV.

Eucharystya wobec światowej wojny.

Znamienną to jest rzeczą, że z dzisiejszego odmętu wojny wyłania się wszędzie niebywała cześć Najśw. Sakramentu. Na krwawych pobojowiskach, w strzelniczych okopach, po szpitalach, po wszystkich kościołach i kaplicach — wszędzie zapanowuje Chrystus eucharystyczny, wzywany i czczony przez wszystkich w sposób nadzwyczajny.

Skąd to pochodzi ?

Z wiary w rzeczywistą obecność Boga - Człowieka pod postacią chleba. W tem strasznem bowiem rozpętaniu się żywiołowych sił całej niemal ludzkości w dzisiejszej wojnie — każda

jednostka ludzka poczuła się słabą. A w stałości każda istota szuka oparcia. Prawo samozachowawcze każe jej szukać ratunku przed zagładą. A niema wtedy czasu na przemyśliwanie. Człowiek, jak każda istota żyjąca szuka ratunku raczej odruchowo, niż siłą rozumu. Przemyśliwa dopiero wtedy, gdy ten ratunek znajdzie; i zawsze się przekonywa, że ów instynkt samozachowawczy dobrze go prowadził. Nigdy bowiem nie ulega tu ułudzie, lecz zawsze wyczuwa rzeczywistość. Ludzkość szukająca oparcia na wyższej jakiejś potędze, znalazła je dziś w Eucharystyi. A znalazłszy je instynktowo — trwa teraz przy niem świadomie, lecz wiernie.

Te wywody przystósowaćby trzeba zwłaszcza do tych, co to dawniej zupełnie nie wierzyli w obecność Chrystusa w Eucharystyi — albo też tej prawdzie nie dowierzali, upatrując w niej innego jakiegoś znaczenia — a dziś uwierzyli.

Choć tych, coby w rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystyi zupełnie nie wierzyli, nie było nigdy. Wszak sam Jezus jeszcze powiedział, iż świat rozdzielony będzie na dwa, wrogie sobie rodzaje. I powstały one jeszcze za czasów Jego ziemskiego żywota. Stworzyła je miłość jednych, a nienawiść drugich ku Niemu. Rozłam ten, nabierając z czasem coraz więcej cech znamiennych, najwyraźniej uwydatnił się w naszych czasach. Jeden z tych rodzajów nazwał Chrystus Pan „rodzajem jaszczurczym", a do drugiego zaliczył swą małą owczarnię wiernych, którym był „dobrym Pasterzem".

Ów rodzaj jaszczurczy rozmnożył się i przyciągnął do siebie odstępców różnych religii. Dziś wystąpił on pod nazwą „wolnomularstwa" czyli „masoneryi". Przewodnią myślą wolnomularstwa jest nienawiść do Chrystusa Pana. Ta nienawiść, przekazywana dziedzicznie z pokolenia w pokolenie, sięga swym początkiem owej sekty faryzeuszów, których gnębiła ciągle myśl, że niedość umęczono Jezusa, że Go źle ukrzyżowano i nie ustrzeżono w grobie. Ta piekielna żądza walki z Bogiem zawiodła ów „rodzaj jaszczurczy" daleko. Nienawiść do Galilejczyka przeniesiono na Eucharystyę.

Kościół we Mszy św., Komunii i adorowaniu Hostyi Przenajświętszej czerpie zawsze siły i na Eucharystyi opiera swoją żywotność i niezłomne nadzieje. Najzawziętsi wrogowie musieli uznać, że jest coś boskiego w tym „Chlebie żywota". Na niego więc zwróciła się zapalczywa nienawiść „jaszczurczego rodzaju". Wypowiedziano wojnę Eucharystyi. W ciągu wieków dopuszczono się całego szeregu świętokradztw na św. Hostyi. Nienawiść do tego „Sakramentu miłości" nie wygasa w owym rodzaju nigdy.

Ta nienawiść owych wrogów Eucharystyi jest wymownym dowodem, iż uznają w niej rzeczywistą obecność Chrystusa. Trudno bowiem kogoś nienawidzieć, jeśli się nie jest przekonanym, że ów „ktoś" istnieje.

W ostatnich czasach rozmnożyło się wolnomularstwo najwięcej we Francyi. Piekielną swą nienawiścią do Chrystusa eucharystycznego zarazili wielu, wielu. Ci, co do nich jawnie nie przystali, w wierze zobojętnieli — a prawdziwie wiernych czcicieli Hostyi Przenajświętszej, garść się tam jeno została.

Przyszła wojna. I stała się rzecz dziwna. Cała Francya zwróciła się znowu do Boga. Dziwią się temu dzienniki — a tem więcej jeszcze się dziwią, że ten zwrot do Boga objawia się tam w nadzwyczajnej czci Eucharystyi.

Lecz czemu się tu dziwić?

Groza budzi trwogę, a w trwodze wszystko się do Boga zwraca i szuka Go, gdzie może najbliżej. A najbliżej nas żywy i rzeczywisty Bóg w Eucharystyi przebywa. Tam się też wszystko zbiega skwapliwie. Wojenna groza obudziła uśpioną w sercach wiarę!

W górę serca!

(Garść rozmyślań w dniu 3 maja).

Opowiadają o jednym tułaczu - Polaku, który po długich wędrówkach po szerokim świecie dotarł w końcu do bram piekła. Na odrzwiach tego strasznego przybytku zatracenia obaczył napis: „Tu niema nadziei". Przeczytał, ramionami wzruszył i wspiąwszy się w górę, pod owem piekielnem: „Tu niema nadziei" — „Jeszcze Polska nie zginęła" — dopisał.

Bajka! — rzecze ktoś może. Jużcić, że bajka, ale w każdej bajce głęboka prawda się kryje. Takimi zaciętymi w narodowej sprawie, jak ów tułacz — są wszyscy Polacy.

Przyszły na nas straszne czasy. Od brzegów Bałtyku, aż po Wołoszczyznę — cała Polska jednym ogniem gorzeje.

szerokie łany usłały gęsto grządki mogił, a w nich legły tysiące; a ci, co ocaleli, jak liście jesienne, gnane wichurą rozprószyli się po obcym świecie i wiodą żywot tułaczy-nędzarzy. Zda się, że piekło nie mogąc utrzymać w swem łonie naporu grozy, pękło i straszne swe odmęty rozlało po polskiej ziemi. Zatracenie!

Przyszedł Maj. Na tym skrawku polskiej ziemi, co go jeszcze ta straszna pożoga nie tknęła i hen, daleko, w obcych krańcach rozległ się dnia Trzeciego Maja buńczuczny śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła"... Ojczyzna im gorze, las mogił i krzyżów ich ziemię pokrywa, straszne zatracenie na nich wszystkich idzie, a oni śpiewają: „Jeszcze nie zginęła". — Jaki taki, co to słyszy, szyderczo odyma wargi i mówi z politowaniem: „Zaślepieńcy!" A oni tem uparciej wtedy wołają: „Nie zginęła!" — Wszyscy oni tacy, jak ów ich rodak, co te słowa na drzwiach piekła pisał.

Skąd w was Polakach ta zawziętość taka?

Już nam Bóg tak usposobił dusze, że im więcej dławią tem uparciej o swe prawa wołamy.

Tkwi w nas bowiem wielki zaród żywotności. Ręka Boża rzuciła w nasze serce ten zaród wtedy, gdyśmy obumarli legli.

Przed stu dwudziestu kilku laty było w Polsce źle bardzo źle. Naród zatracił w sobie ducha chrześcijańskiego i obywatelskiego. Rozsprzęgło się życie w rodzinach; w sumieniach zatracono poczucie obowiązku. Życie przewalało się bezmyślnie z dnia na dzień. Hasłem jego było: używanie. Używano też do zapamiętania. Możni oddawali się zdradziecko za pieniądze na usługi wroga. Ościenne mocarstwa wygotowały już dokładne, we wszystkich szszegółach plany rozbioru kraju. Lada chwila miano zabić ćwieki nad trumną Polski.

W tej ostatniej jednak chwili dokonała się w Polsce rzecz wielka, którą cudem Opatrzności nazwać trzeba. Zniepra wiony w sumieniu, pijany szałem używania naród, wydaje na wielkim sejmie w Warszawie „Konstytucyę“. Wydano w niej najmądrzejsze na ówczesną Europę prawo. Zastosowanie tego prawa miało być odrodzeniem dla upadającego państwa.

Zapóźno jednak podano Polsce ten lek zbawienny. Wewnętrzną niemocą i zewnętrznym gwałtem zmożona, legła obumarła.

Ale „Konstytucya 3 Maja“ nie przepadła. Stała się w sercach przyszłych pokoleń zarodem odżycia. Aczkolwiek bowiem ta ustawa wyszła w czasie największego rozprężenia w Polsce, dał w niej naród wielki dowód w obliczu całego świata, iż zdolen jest do samoistnego życia. Stąd stuletnia przeszło niewola nie zgasiła w tym narodzie ducha; stąd i dziś jeszcze tkwi w nas taka zawziętość, że choć nam wszystko gorze wołamy: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Ta „zawziętość“ zowie się w chrześcijańskiem słowniku: nadzieją. A nadzieja to wielka cnota. Na niej opiera się życie. Tam, gdzie nadziei braknie, śmierć panuje. Dlatego to nadedrzwiami miejsca zatracenia wypisano: „Tu niema nadziei“.

Głoskami krwi i ognia piszą nam dzieje dzisiejszej doby to samo. Może to złuda, grozą chwili wywołana? W wiele serc jednak wkrada się jad zwątpienia.

Takie zwątpienie — to zbrodnia. Za zwątpieniem bowiem — śmierć idzie, a Bóg w piątem przykazaniu woła: Nie zabijaj! Nadzieją ożywiani przetrwaliśmy sto lat niewoli — na nadziei też jedynie wsparci, dalej, jako naród żyć możemy. Nadzieja bowiem budzi w nas świadomość narodową i upominać nam się każe o nieprzedawnione nigdy prawa. Nadzieja, to życie dzisiejszej Polski, a rozpacz, jej śmierć.

Świadomi swej żywotności, zaklętej w Konstytucyi 3 Maja — piszmy na mogiłach i zgliszczach naszych ojcowizn: „Jeszcze Polska nie zginęła“, bo nie zginęło miłosierdzie i sprawiedliwość Boża.

Szerzenie prawosławia w Galicyi.

Rosya, rozpoczynając wojnę, obiecywała Polakom wolność i zaprzestanie prześladowań. Temi obietnicami chciała przeciągnąć Polaków na swoją stronę. Niestety, obietnic tych zupełnie nie wprowadza w czyn, lecz przeciwnie nawet w czasie wojny nie waha się zadawać Polakom nowych gwałtów.

I tak Galicyę wschodnią, którą Rosyanie chwilowo zajęli, uważa Rosya za kraj rdzennie rosyjski, do którego ma odwieczne prawa. Twierdzenie to wypowiadają głośno politycy rosyjscy i piszą o tem gazety rosyjskie. Takie twierdzenia i dążności są nowym, bezprzykładnym gwałtem ze strony Rosyi. Wiadomo przecież, że Galicya wschodnia została przyłączona do Królestwa Polskiego jeszcze w XV. wieku. W Galicyi wschodniej mieszka około milion Polaków. Lwów, to prawie czysto polskie miasto. I Rosya zapowiada, że chce z Galicyi wschodniej zrobić kraj rdzennie rosyjski. Tak to w praktyce wyglądają obietnice rosyjskie.

W daleko większej mierze narażona jest na prześladowanie ze strony Rosyi wiara katolicka. Do Polaków nie zabierają się Moskale, ażeby ich przeciągnąć na prawosławie, bo wiedzą, że każdy Polak woli raczej obrać śmierć, niż przejście na prawosławie. Ale zato odgrażają się i zaczynają walkę z zakonami. Rosyanie skierowali nienawiść przedewszystkiem przeciw Jezuitom i Bazylianom.

Z daleko większą zaciętością zabrali się Rosyanie do „nawracania“ Rusinów. Wiadomo, że Rusini galicyjscy są unitami, to znaczy, należą do Kościoła rzymsko-katolickiego, pozostają w łączności z Papieżem rzymskim, a tylko w nabożeństwie zachowują obrządek grecki. Otóż tych Rusinów stara się już teraz — nawet w czasie wojny — Rosya za wszelką cenę przeciągnąć do cerkwi schyzmatyckiej. W całej Galicyi wschodniej odbywa się na wielką skalę agitacya za prawosławiem. Biskup prawosławny (archiep.) Eulogiusz objeżdża Galicyę celem „nawracania“. W samym Lwowie już otworzono cerkiew prawosławną. Rosyjskie gazety donoszą, że już około 30 tysięcy Rusinów „nawróciło się“ na prawosławie. Jeżeli tylko w jakiej wiosce lub miasteczku znajdzie się kilkadziesiąt osób, które oświadczają się za prawosławiem, to zaraz Rosyanie przysyłają tam popa prawosławnego i otwierają cerkiew schyzmatycką. Pisma rosyjskie rozpuszczały też wiadomości, że wielu księży ruskich przeszło też na prawosławie. Lecz jest to zapewne zmyślonem kłamstwem, ażeby zbałamucić ludzi, bo te gazety nie wymieniają ani miejscowości, ani nazwisk owych księży, którzy mieli rzekomo przejść na prawosławie.

Dzienniki donosiły również, że wiele sierót ruskich wywieziono z zakładów lwowskich

w głąb Rosyi i tam je „nawrócono“ na prawosławie. Pisma rosyjskie dodają wzmiankę, że tego „nawrócenia“ dokonano bardzo łatwo!?...

Nie potrzebujemy przypominać, że Moskale, skoro tylko wkroczyli do Lwowa, wywieźli ze Lwowa arcybiskupa Szeptyckiego do Kurska, w głąb Rosyi. — Nadto z końcem kwietnia obiegła świat smutna wiadomość, że biskup ruski w Przemyślu Czechowicz, umarł. — Tak więc rozległa archidyecezya ruska Lwowska i dyecezya Przemyska zostały pozbawione pasterzy. Pozostał tylko Stanisławowski biskup ruski Chomyszyn.

Wśród takich stosunków łatwo byłoby Rosyi narzucać Rusinom prawosławie. Miejmy jednak nadzieję, że agitacya prawosławna nie tak łatwo zachwieje wiarą Rusinów.

Sakrament kapłaństwa.

„Cóż to jest kapłan?“ pytał czcigodny proboszcz z Ars gromadkę otaczających go dzieci. — Oto zastępca Boga, człowiek przyodziany władzą Boską. Do kapłanów to, następców Apostołów, wyrzekł Pan Jezus: „Jako mię posłał Ojciec i ja was posyłam“. (Jan, XXVIII, 18). „Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi“. (Łuk. X, 16).

Kapłaństwo jest ważnym i świętym Sakramentem, który, podług wyrażenia św. Augustyna, przemienia człowieka w drugiego Chrystusa, a i każdego z nas zblizka obchodzi. Gdybyśmy nie mieli kapłaństwa, nie mielibyśmy pośród nas obecnego Pana Jezusa, bo któż to sprowadza Go na ołtarze nasze? Kapłan. Kto na Spowiedzi św. odpuszcza nam grzechy, kto nas zasila Chlebem anielskim? Kapłan i zawsze kapłan. Niemasz w życiu naszem łaski Bożej, której byśmy nie odebrali przez ręce kapłana. On jest pośrednikiem pomiędzy Bogiem a ludźmi, szafarzem dobrodziejstw Jego, prośby nasze do Niego zanoszącym.

Sakrament Kapłaństwa jest to zatem Sakrament ten, przez który przyjmującym go Pan Bóg udziela władzy do sprawowania Najświętszej Ofiary i udzielania Sakramentów św., oraz szczególnej łaski do dobrego ich spełniania.

Władza kapłańska polega głównie na mocy przemienienia chleba i wina na Ciało i Krew Pana Naszego Jezusa Chrystusa, odpuszczenia grzechów, sprawowania innych Sakramentów i głoszenia słowa Bożego. Zaiste władza to wielka i święta, to też słusznie powiedział św. Franciszek z Assyżu: „gdybym spotkał równocześnie Anioła i kapłana, naprzód pokłoniłbym się kapłanowi, gdyż władza jego przewyższa władzę Aniołów. Anioł jest przyjacielem Boga samego, ale kapłan Jego zastępcą“.

Sakrament kapłaństwa daje nietylko wielką władzę, ale i obfite łaski do godnego sprawowania jej na chwałę Bożą i pożytek dusz ludzkich. Te łaski właśnie czynią kapłanów solą ziemi i światłem świata, one podtrzymują odwagę misyonarzy wśród niepojętych trudów i prześladowań, a duszpasterzom dają wytrwanie i ducha apostolskiego pośród mozolnej i trudnej ich pracy.

H i e r a r c h i a k a p ł a ń s k a. Następcami Apostołów są tylko biskupi, oni też jedynie posiadają pełność władzy. Kapłani są ich pomocnikami i tylko w ich imieniu i z ich polecenia są pasterzami wiernych.

Prócz święcenia kapłańskiego i biskupiego jest jeszcze kilka innych święceń, które są niejako przygotowaniem do święcenia kapłańskiego. Cztery niższe święcenia usposabiają do rozmaitych posług przy nabożeństwie. Subdyakonowie są pomocnikami przy ołtarzu biskupów, kapłanów i dyakonów i śpiewają lekcyę. Dyakonowie śpiewają Ewangelię i mogą wiernych nauczać, chrzcić, tudzież Komunię św. im rozdawać.

O b o w i ą z k i w i e r n y c h w z g l ę d e m k a p ł a n ó w. Wierni winni kapłanom, jako zastępcom Boga i szafarzom Jego łask, głęboki szacunek i żywą wdzięczność za dobrodziejstwa, jakie odbierają za ich pośrednictwem; ze względu na władzę, jaką kapłani od Boga otrzymali, uległość i posłuszeństwo.

„A prosimy was, bracia — pisze św. Paweł do Tessalończyków (V. 12) — abyście znali (to jest poważali i byli posłuszni) te, które pracują między wami i którzy są przełożonymi waszymi w Panu i napominają was. Iżbyście je bardziej miłowali dla ich pracy, pokój miejcie z nimi“.

Jakób Sobieski, ojciec króla Jana III. nigdy nie siadał do obiadu bez kapłana, któremu, szanując w nim osobę Chrystusa Boga, pierwsze przed wszystkimi gośćmi miejce dawał. Bolało to pewnego wojewodę, że gdy gościł u Sobieskiego, ten pierwsze przed nim miejsce dał swemu plebanowi, i żywo o tem rozprawiał z gospodarzem, gdy zaś nie mógł go przekonać, że jemu, jako wojewodzie, należy się pierwszeństwo, odszedł. Pleban jakoś natchniony rzekł do swego kolatora: „Żeś uczcił pomazańca Boskiego, będziesz miał w domu twoim pomazańca Jego“.

D l a c z e g o l u d z i e p o w s t a j ą p r z e c i w k s i ę ż o m? Dla tej prostej przyczyny, że im księża zawadzają do ich niecnych postępków. Że im zabraniają źle czynić, przypominając o istnieniu Boga, o piekle, o sądzie i karze za grzechy. Dowiedzioną jest rzeczą, że wszyscy niegodziwcy, złodzieje, pijacy, rozpustnicy są nieprzyjaciółmi księży i najwięcej na nich wygadują. Przeciwnie, wszyscy porządni i uczciwi ludzie z szacunkiem i przychylnością wyrażają się o duchownych, szukają u nich porady w kłopotach i wątpliwościach, na czem zawsze najlepiej wychodzą; okazują im wobec ludzi szacunek i uległość. W niektórych pismach i książkach powstają wprawdzie na księ-

ży, szydząc z nich lub przypisując im niecne postępki. Lecz wierzajcie mi, takie piśmidła są kłamstwem, sfabrykowanem za pieniądze, na rozkaz wrogów Kościoła.

Jeżeli się trafia czasem mniej godny i zapominający o swem Boskiem posłannictwie, czyż dlatego mamy wszystkich księży potępiać? Zresztą takich mniej godnych kapłanów bardzo jest niewielu, natomiast ilu to świętych, zacnych i gorliwych, z zaparciem siebie pracujących na chwałę Bożą nad zbawieniem dusz ludzkich -

I Polska nasza wydała nieprzeliczony szereg świątobliwych i świętych kapłanów, zakonników i misyonarzy jak na przykład: św. Stanisława Biskupa, św. Jacka, św. Jana Kantego, bł. Czesława, bł. Wincentego Kadłubka, bł. Andrzeja Bobolę i tylu innych. A w obecnej zawierusze wojennej kto nie słyszał o naszych XX. biskupach i kapłanach, którzy pomimo różnych przeciwności stali i stoją wytrwale i nieustraszenie na swoich stanowiskach, broniąc wiecznych i doczesnych dóbr ludu naszego?

Dzisiaj muszą nawet wrogowie księży nietylko zamilczeć, ale przyznać, że swojemi napaściami i oszczerstwami czcigodnym kapłanom i sługom Bożym wielką krzywdę wyrządzili. Oby lud po wojnie o tem pamiętał i starał się iść zgodnie ze swojem duchowieństwem, które mu było i jest prawdziwym przyjacielem w tej tak wielkiej obecnej niedoli.

Bramy piekielne nie zwyciężą go!

Żadna instytucya na świecie nie spotyka tylu zaciekłych wrogów, ilu spotykał ich w ciągu swego 19-wiekowego istnienia Kościół katolicki. Żydowstwo, pogaństwo, a następnie rozmaite rządy prześladowały go zaciekle. — Z wszystkich tych walk wychodził jednakowoż Kościół katolicki zawsze zwycięsko. Sprawdzały się zawsze słowa Chrystusa Pana: „Bramy piekielne nie zwyciężą go!“

Ponieważ każdorazowy Ojciec św jest najwyższym pasterzem całej owczarni Chrystusowej, dlatego nieprzyjaciele kierują zawsze swe ataki przedewszystkiem przeciwko Papieżom. Wiedzą bowiem, że jeżeli udałoby się im zgnębić Papieży, to tem samem zniszczyliby cały Kościół.

Na stolicy Piotrowej zasiada teraz Ojciec św. Benedykt XV., mąż niezwykłej miary, wytrawny dyplomata, wielki uczony i gorliwy pracownik wwinnicy Pańskiej. Niemniej jak Piusa X. tak zarówno Benedykta XV. otacza aureola wielkiej świątobliwości. Jak wierni spoglądają na Papieża z uwielbieniem, tak z drugiej strony nieprzyjaciele Kościoła z bojaźnią i zawiścią.

Do najzacieklejszych wrogów katolicyzmu należy obecnie masonerya. Jest to międzynarodowe, tajemne stowarzyszenie, które za główny cel postawiło sobie zniszczenie Kościoła katolickiego. Działa zawsze tajemniczo, skrycie, przez podziemne sprzysiężenia i — niby podziemne krety — podkopuje fundamenta społeczeństw chrześcijańskich. Bezwątpienia potęgi piekielne używają masoneryi do swoich celów.

I w czasie obecnych krwawych wojen nie śpi masonerya, lecz pracuje z gorączkowem natężeniem. Jakkolwiek plany masoneryi okryte są największą tajemnicą, to przecież wyszło na jaw, co zamierzają masoni. Niedawno donosiły o tem niektóre pisma włoskie.

Według tych doniesień masonerya wytęża teraz wszystkie siły, ażeby odebrać Papieżowi resztę niezależności, jaką mu pozostawił rząd włoski po zagrabieniu Państwa kościelnego i po zaborze Rzymu. Na małym obszarze watykańskim Papież pozostał niezależnym od żadnego rządu. Watykan jest jakby wolną wyspą, unoszącą się pośród powszechnego zalewu. Każdy katolik dobrze to rozumie, że Papież, musi być niezależnym od rządów, ażeby swobodnie mógł rządzić katolikami całego świata. — Otóż i tę resztę niezależności pragnie wydrzeć masonerya Papieżowi, pragnie go uczynić poddanym podległym rządowi włoskiemu.

Nie dosyć na tem! Masonerya boi się Papieża. Głosi więc, żeby go wywieźć na jedną z bliższych lub dalszych wysp państwa włoskiego, ażeby nie mógł szkodzić ojczyźnie włoskiej.

Takie to plany snują masoni. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że masonerya poruszyła wszystkie tajemne sprężyny, ażeby Włochy popchnąć do wojny z Austryą, a tem samem z Niemcami. Wiedzą bowiem masoni, że katolicy doznawali opieki i w Austryi i w Niemczech. Popchnęli więc Włochy, ażeby związały się z schyzmatycką Rosyą, z purytańską Anglią i bezbożną Francyą, i ażeby zerwały się do wojny z katolicką monarchią Habsburską. Masonerya spodziewa się bowiem upadku państw katolickich, a tem samem katolicyzmu w Europie. Jednakowoż Boski Zbawiciel, który w najgorszych czasach tem widoczniej czuwał nad swoim Kociołem, i teraz w czasie szalejącej burzy wojennej ponad Europą czuwał będzie również nad Papieżem i narodami katolickimi i nie dozwoli im zginąć. Już w niedługiej może przyszłości zobaczą wrogowie Kościoła, że wszystkie ich plany zostały pokrzyżowane i spełnią się znowu słowa Chrystusowe, że bramy piekielne nie zwyciężą Kościoła katolickiego.

Wojna obecna zbawienną rózgą Bożą.

Wojnę nazwano słusznie rózgą Bożą. Chociażby była najsprawiedliwszą, sprowadza tyle cierpienia i nędzy na ludzkość, że w niej karę Bożą upatrywać należy. A jednak inaczej Bóg

z nami postępować nie może, za winy karać musi. Z początku łagodnymi środkami do upamiętania budzi, a gdy te nie pomagają, używa surowszego środka, jak n. p. wojny, aby przywieźć do upamiętania, aby nas odnowić.

Losy ludu Izraelskiego doskonałym są wzorem losów doczesnych narodów katolickich, a najwidoczniej naszego. Jak długo żydzi stali i chadzali w Zakonie Pańskim, żyli w pokoju i pomyślności. Ile razy popadli w niewiarę i bałwochwalstwo, Bóg posyłał Proroków, którzy lud zbuntowany napominali i karcili. Jeśli ich nie słuchano, zabijano, wtedy spuszczał Bóg narody dzikie, niewierne ku przykruszeniu twardych karków Judy i Izraela. I próżno się miotali żydzi, próżno wołali hardo, że są synami Abrahama, próżno wyglądali pomocy skądkolwiek, na nic się wszystko zdało, dopóki się nie upamiętali, dopóki nie wyznali z Prorokiem: „Ty sprawiedliwy jesteś we wszystkiem, co przyszło na nas; boś prawdę uczynił a myśmy niezbożnie czynili“. Dopiero kiedy wznowili z Bogiem przymierze, Pan odrzucił rózgę już niepotrzebną. Podobnie było i z nami przed wojną. Nowożytne pogaństwo opanowało nieomal wszystkie dziedziny działalności ludzkiej, wystudzając serca ludzkie dla zasad i prawideł chrześcijańskich. Umysł ludzki zbuntował się przeciw wierze i odrzucał w swej pysze prawdę objawioną. Zepsucie moralne jak potop zalewało naszą ziemię, wypaczając sztukę i literaturę, a narzucając bezwstyd i rozwiązłość.

Głód złota opanował wszystkich i począł materyalizować społeczeństwo nasze. Daremne były nawoływania Namiestników Chrystusowych, widzących dawno grożące niebezpieczeństwo, do odwrotu. Słowa ich przebrzmiewały bez echa. I dopiero trzeba było wojny, by ocknęły się umysły ludzkie i wróciły do Tego, który jest: „drogą, prawdą i żywotem“, i który: „umarza i ożywia, przywodzi do piekła i odwodzi“. I ożyły z głębi niewiary, miłości własnej i nieczułości serca polskie, gdy Bóg w morzu krwi i w potokach łez ludzkich okazał sprawiedliwą i karzącą swą rękę i nią wiedzie go dziś na wyżyny, na których widzieć go pragnął od dawna, przez ducha wiary, poświęcenia i miłości.

W obliczu grozy wojennej podniósł się duch wiary. Ktokolwiek zastanawiał się dobrze nad rozwojem religijnym, ten musiał przyjść do tego przekonania, że wiara nasza obojętniała coraz bardziej w sercach chrześcijańskich. Otwartą walkę wypowiedziano Kościołowi w niektórych państwach, podkopując i wydzierając tem samem z serc ludzkich wiarę; z katedr uniwersyteckich odzywał się już niekiedy ateizm; a pisma codzienne niosły jad niewiary w serca czytelników. A jeżeli u nas nie tak źle pod tym względem było i wiele objawów napotykało się pobożności, to ta po większej części pozorną była, nie objawiała się w życiu domowem, politycznem i narodowem, bo nam brakło zasad chrześcijańskich, które muszą być normą życia prywatnego i publicznego każdego chrześcijanina. I dopiero wojna nauczyła nas rozumu, że nie w płytkich mędrkowaniach, lecz w wierze Chrystusowej jest moc dla ducha i źródło pociechy dla serca ludzkiego. Od samego początku wojny aż dotąd, patrzymy na objawy podniesienia ducha religijnego. Kościoły zapełniły się wiernymi, do Sakramentów św. prócz płci niewieściej, dużo mężczyzn przystępuje, ci którzy przez lata długie stronili od Boga, uczuli potrzebę zbliżenia się doń przez łaski Sakramentalne, a nasi żołnierze uderzają na wroga z okrzykiem: „Jezus, Marya“ i z temi słowy na ustach chwalebnie giną na bitew polach. A ten duch religijny, który ożył w tych krwawych czasach u nas, udzielił się i narodom innym. Dość wspomnieć o Francyi, która nie tak dawno wyrzekła się urzędownie Boga i Kościoła, a jednak rózga wojny do Boga ją przyciągnęła na nowo, gdyż jak słyszymy, podobno nigdy tak zapełnionym kościół Notre-Dame w Paryżu modlącymi się nie był jak obecnie, a do domu, w którym mieszkała w Orleanie bł. Joanna d'Arc, pielgrzymują codziennie liczni oficerowie francuscy i żołnierze.

Groza wojenna podniosła ducha poświęcenia i ofiary. Kiedy naród jaki opatrzony we wszystkie warunki fizyczne potrzebne do istnienia i mający za sobą długoczasowe doświadczenie upada, najracyonalniej każdy wniesie, że musi być w tym narodzie zaród złego, który osłabił lub wytrawił siłę jego żywotną. Lecz jeśli po stuletniej przeszło niewoli nie braknie w nim ducha ofiary i poświęcenia, to znak, że ten naród żyje i zginąć nie może nigdy. Na podobny objaw patrzyliśmy własnymi oczyma wśród obecnej wojny. Z radością w duszy witaliśmy wojowników co z pieśnią na ustach, bohaterstwem w sercu, a chorągwią Maryi w ręku, szli na krwawe boje, jak gdyby na gody weselne.

Wojna obudziła nietylko ducha wiary, ofiary i poświęcenia, ale i miłosierdzia. Słusznie powiedział jeden z filozofów: „Dzieje ludzkie są dziejami grzechów i chłosty za nie. W ręku Boga jeden naród jest młotem, a drugi kowadłem i nawzajem. Ani się gorszyć trzeba, że równie i więcej grzeszne ludy są karcicielami innych; sprawiedliwość Boża jak ludzka, nie używa najświętszych w społeczeństwie ku wypełnieniu swoich wyroków. Przewaga ludów cnotliwych nie byłaby karą, ale nagrodą“.

I nas jak gdyby na kowadle położył Bóg, by w wieku zimnego rozumu i samolubstwa uczynić miłosiernymi. Szczytem bowiem idei chrześcijańskiej, to miłość dla bliźnich, to miłosierdzie. Lecz to obowiązkiem nie tylko dla tych, co do samego szczytu świętości zdążają, ale to proste domaganie się religii chrześcijańskiej, bez wyjątku od wszystkich. Niestety, świat o tym obowiązku zapomniał, podobny do bogacza, co w purpury i bisior się ubierał i hojnie używał, gdy Łazarz pełen wrzodów i nę-

dzy umierał. O jakże pięknie wykrzesała wojna z serc samolubnych iskrę miłosierdzia chrześcijańskiego, przypominając światu, że jego obowiązkiem jest: „czynić jałmużnę z majętności swoich a nie odwracać oblicza od żadnego ubogiego i jako będziesz mógł, tak bądź miłosiernym“ — i stworzyła tak liczne zastępy aniołów w ludzkiej postaci na ziemi, by spełniali tę samą misyę, jaką Zbawiciel spełniał, misyę miłości względem poległych, rannych, chorych, wdów, sierót i dzieci, względem bez dachu i ogniska domowego tułaczy, pomnąc, że w ich postaci kryje się sam Bóg: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, toście mnie uczynili samemu“.

Codziennie w suplikacyach do Boga wołamy: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie“ — a Pan właśnie temi czterema plagami chłoszcze nas. Kiedy Majestat groźny Boga nie wysłuchuje nas, toć jeszcze jedna jest nadzieja, jeszcze jedna jest ucieczka, bo Marya za pośredniczkę nam dana. Doznały Jej opieki inne narody, doznały i Ojce nasze, więc do Niej w ucieczkę, Ona nas nie oddali niewysłuchanych, Ona nas przyjmie i do łaski Bożej wróci. Oblęgajmy jej ołtarze, módlmy się do Pośredniczki naszej Ojców naszych przykładem, a Ona przejedna nam Boga, w miejsce gniewu pokój nam przyniesie.

Marya Stuart.

Jedną z najznakomitszych ofiar prześladowań Elżbiety, niegodziwej królowej angielskiej, była pobożna Marya Stuart, królowa Szkocyi, zgładzona ze świata pod pozorem buntu, za sprawę Jezusa Chrystusa i wiary rzymsko-katolickiej. Było to w lutym 1587 r.

Przetrzymawszy ją przez lat 18 w ostrem więzieniu, Elżbieta nie lękała się podpisać wyroku śmierci nieszczęśliwej Maryi.

Gdy jej przyszli oznajmić, aby się na śmierć przygotowała, odrzekła bez wzruszenia, że od chwili swego uwięzienia w Anglii, przygotowywała się na śmierć i okazała wielką radość, że nadszedł czas zamiany jej cierpień w szczęście wieczne bez troski.

Egzekucya miała się odbyć nazajutrz rano między siódmą a ósmą. Spowiednikowi przyjść nie dozwolono, a więc napisała do niego, prosząc o pomoc w modlitwach i o wszystko, co mogło przyczynić się do jej zbawienia.

Ponieważ noc już była, poszła do swej kaplicy, gdzie klęcząc modliła się przeszło dwie godziny; potem położyła się, nie tyle dla odpoczynku, jak dla modlitwy, aż do rana, o czem świadczą jej damy dworskie. Wstała na dwie godziny przededniem, ubrała się wspaniale, gdyż jako wierna katoliczka uważała ten dzień za najpiękniejszy w swojem życiu, wróciła do kaplicy i spożyła Hostyę konsekrowaną, którą jak mówią, Papież pozwolił jej przechować u siebie na koniec jej życia.

W godzinie naznaczonej zaprowadzono ją na miejsce jej śmierci. Na środku wielkiej sali wzniesiono rusztowanie, pokryte czarnem suknem. Królowa weszła z krucyfiksem w rękach i wstąpiła po stopniach na rusztowanie z pomocą jednego ze swych dworzan. Miała suknię długą, czarną aksamitną, ozdobną w klamry i lamy złote, z mnóstwem pereł i drogich kamieni; na głowie miała welon biały cienki, przeźroczysty spływający na ziemię. W czterdziestym czwartym roku życia twarz Maryi Stuart nie tyle zmieniona, jak ożywiona wyrazem boleści i heroizmu, była tak majestatyczną, że budziła pewien rodzaj poszanowania religijnego.

Gdy przeczytano jej wyrok śmierci, nie uważając na to, co się wokoło niej działo, duszą cała zatopiona w niebie, królowa ciągle z krucyfiksem w ręku, zapewniała, że nigdy nie nastawała na życie, ani na koronę Elżbiety; ale ponieważ powodem jej śmierci jest wiara, przyjmuje ją jako największą łaskę od Pana Boga. Poleciła Panu Jezusowi Kościół katolicki, króla Jakóba swego syna, a nawet Elżbietę i jej królestwo, a na koniec uroczyście oświadczyła, że umiera w połączeniu z Kościołem Rzymsko-katolickim, Apostolskim.

Modliła się jeszcze czas jakiś, potem z pomocą swych dam dworskich rozpięła kołnierz i wymawiając słowa: „Panie, w ręce Twoje oddaję duszę moją“, położyła głowę pod miecz kata, który ją ściął dwoma uderzeniami, 18 lutego 1587 roku.

Wojna w czasach biblijnych.

Biblia opowiada o wielu wojnach, jakie żydzi prowadzili z różnemi narodami. Z tych opowiadań można sobie wytworzyć obraz całości ówczesnej wojny.

Przed rozpoczęciem wojny uciekano się po radę do Boga. Pośredniczył w tem u żydów arcykapłan. Inne narody zasięgały wieści u wróżbitów. Naśladowali je w tem niektórzy bezbożni królowie żydowscy, radząc się różnych fałszywych proroków. Aby sobie wyprosić pomoc Bożą składano ofiary, czyniono śluby, poszczono, oddawano się modlitwom. Wojnę wypowiadano przez listy, lub przez posłów.

Z chwilą wypowiedzenia wojny, ruszało wojsko w pole. Natknąwszy się na nieprzyjaciela stawali żołnierze w szyku bojowym. Przed samą bitwą zagrzewali ich do waleczności kapłani, czasem sami nawet królowie, a w późniejszych czasach wodzowie, jak to np. czynili Machabeusze. Gdy trąby zagrały, rzucało się wojsko w gwałtownym rozpędzie, wśród przeraźliwego krzyku, na wroga. Walka prowadzona wręcz na miecze i włócznie była zazwyczaj bar-

dzo krwawa. Żeby więc zapobiedz zbytniemu przelewowi krwi, wybierano losem po jednemu, lub po kilku wojowników z obu stron i walka tych rozstrzygała o zwycięstwie.

Miasta stanowiły zazwyczaj twierdze. Zdobywano je podobnie, jak dziś: rzadko szturmem — ale najczęściej długotrwałem oblężeniem. Kopano dokoła rowy i szańce, w których kryło się wojsko, starając się odciąć miastu dopływ wody i dowóz wszelakiej żywności. To też brano je najczęściej głodem. Zdobyte miasta niszczono zazwyczaj ogniem, równano z ziemią i posypywano solą, albo zaorywano na znak wiecznego zniszczenia.

Mojżesz ogłosił następujące prawo o zdobywaniu miast: 1. „Jeśli kiedy przeciągniesz, abyś dobywał miasta, pierwej mu pokój ofiarujesz. Jeśliż przyjmie, a otworzy ci bramy, wszystek lud który w niem jest zachowan będzie i będzie tobie służył podatkiem. Lecz jeśli przymierza nie będzie chciał uczynić i zacznie przeciw tobie wojnę, będziesz go dobywał. A gdy je Pan Bóg Twój poda w rękę twoją, pobijesz wszystko, co jest w niem płci męskiej w paszczęce miecza: oprócz niewiast, a niemowląt, bydła i innych rzeczy, które są w mieście. Wszystką korzyść wojsku podzielisz i pożywać będziesz z łupu nieprzyjaciół twoich, któryć Pan Bóg twój da. Tak uczynisz wszystkim miastom, które są bardzo daleko od ciebie, a nie są z tych miast, które weźmiesz w osiadłość. — 2) „A z tych miast, które dane będą tobie, nikogo z goła żywo nie zostawisz: ale pobijesz w paszczęce miecza, to jest Hetejczyka, Amorejczyka, Chananejczyka, Ferezyjczyka, Hewejczyka i Jebuzejczyka, jakoż Pan Bóg twój przykazał: obyście snać was nie nauczyli czynić wszystkich obrzydliwości, które sami czynili bogom swoim, a zgrzeszylibyście przeciw Panu Bogu waszemu“. — 3) Gdy oblężesz miasto przez czas długi, a obtoczysz je szańcami, abyś go dobył, nie będziesz wycinał drzew, z których jeść się może, ani siekierami w koło pustoszyć masz krainę, bo drewno jest, a nie człowiek, ani może walczących przeciw tobie przyczynić liczby. Lecz jeśli które drzewa nie są rodzące owocu, ale leśne, i na inne potrzeby służące, wytnij, a sporządź machiny, aż dobędziesz miasta, które przeciwko tobie walczy“. (Deut 20, 10—20).

Wschodnie narody są bardzo mściwe i zacięte. To też zwycięzcy dopuszczali się zawsze nad zwyciężonymi srasznych okrucieństw. Królów i dostojników zakuwano w kajdany, oślepiano ich, lub obcinano im ręce i nogi, albo wprost zabijano; na znak zupełnego poddaństwa deptano zwyciężonych. Dziewice i mężatki gwałcono: brzemiennym rozcinano łona; niemowlętom rozbijano główki o skały i węgły murów. Niekiedy zwycięzcy ucinali zabitym wrogom głowy, które wystawiano na widok publiczny, a potem niesiono w tryumfalnym pochodzie! Jeńców kładziono na cierniach i piłowano przez pół; odzierano ich żywcem ze skóry, albo jeżdżono po nich walcami, używanemi do młocki. Trupy pozostawiano na pastwę ptactwu i dzikim zwierzętom.

Nie zawsze jednak dopuszczano się takich okrucieństw. Nieraz podbitym narodom zostawiano własnych królów, a nakładano tylko haracz. W razie buntu jednak, uciekano się do ostateczności. — Wracających z wojny zwycięzców przyjmowano uroczyście. Wychodzono przed nich tłumnie i witano ich muzyką i pieśnią pochwalną; opiewano też chwałę poległych bohaterów. Ci, którzy odznaczyli się nadzwyczajnem męstwem, otrzymywali wyższe dostojeństwa i zdobiono ich drogocennymi pasami; niekiedy zwalniano takich bohaterów od podatków; zostawali też uczczeni przez znakomite małżeństwa. Za króla Dawida była legia honorowa, utworzona z największych bohaterów.

Ze zdobyczy wojennej w ludziach i zwierzętach połowa, bez pięćsetnej części, dostawała się żołnierzom; część pięćsetna tej połowy szła na rzecz kapłanów. Drugą połowę zdobyczy otrzymywał naród, z której część pięćdziesiątą ofiarowano Lewitom. Inne rzeczy wartościowe zabierał zazwyczaj wódz. Tak właśnie Dawid z wojennych zdobyczy zgromadził wielkie skarby na budowę świątyni w Jerozolimie.

Wojna jest zawsze wojną, czy wówczas, czy dzisiaj. Ale inne czasy i inni ludzie, więc też i inny sposób jej prowadzenia.

Po Wielkanocy.

Proboszcz z B... mógłby się był uważać za najszczęśliwszego z ludzi, gdyż we wilią każdego święta konfesyonał jego był oblężony nietylko od kobiet, ale i od mężczyzn, a w samą uroczystość pełno bogatych i ubogich obojej płci przystępowało do Komunii św.

A jednak ks. proboszcz z B. nie zupełnie był zadowolony, gdyż jednej, jedynej owieczki brakowało zawsze przy tem tak wzruszającem nabożeństwie. Tą nieposłuszną owieczką nie był kto inny, tylko Jan M. z profesyi krawiec, człowiek nie tak zły w gruncie serca, jak raczej namiętny przyjaciel flaszki. Już od dłuższego czasu tryb życia pana M. był następujący: Cały tydzień pracował pilnie i wytrwale, ale w sobotę wieczór napadał go jakiś stan febryczny. Nie mógł wtedy wysiedzieć na stołku, igła mu się prawie paliła w palcach i coś nieokreślonego owładnęło jego słabą wolą. Potem skoczył, rzucił robotę w kąt i popędził do szynku. Tu pił M. szklankę za szklanką, cały tygodniowy zarobek przepadał, a on nie pierwej przychodził do

domu, aż w poniedziałek rano. A skoro przyszedł, pierwszą czynnością jego było, że zbił okropnie swą żonę.

Ta nieszczęśliwa kobieta, nieraz przychodziła do ks. proboszcza i uskarżała się na swoją biedę.

— Ach, księże proboszczu — mawiała — gdyby ks. proboszcz z mego męża porządnego człowieka mógł zrobić, skończyłoby się nasze nieszczęście. Tak jest, mam to przekonanie — zapewniała dalej — że godne przyjęcie św. Sakramentów dodałoby mu siły oparcia się tej okropnej pokusie w sobotę wieczorem.

O tem wszystkiem wiedział dobrze ks. proboszcz; dlatego często odwiedzał krawca pod różnymi pozorami. Zręcznie wtedy skierował rozmowę na jaką minioną uroczystość.

— I pana szukałem, kochany panie M. — mówił doń proboszcz — ale znów pana z wielkim moim smutkiem nie znalazłem. Uważ pan przecież, że pan jedynie w całej mej parafii nie chodzi do Spowiedzi wielkanocnej. Jaka szkoda, przecież pan jesteś skądinąd pilnym rękodzielnikiem i nie złym człowiekiem, mnie się zdaje, że to się przecież niegodzi.

M. skrobał się za uszy i zrobił głupią minę.

— Nie mogę powiedzieć, że ks. proboszcz nie ma słuszności — rzekł — ale ja jestem stary grzesznik, a widzi ksiądz, aby tę sprawę dobrze załatwić, najlepiej będzie zaczekać do Wielkanocy, będę miał wtedy dość czasu, nawrócić się, bo to rzecz wielkiej wagi.

— Nie widzę wprawdzie przyczyny — odparł proboszcz — dlaczego pan z tą tak ważną sprawą aż do Wielkanocy chcesz czekać, ale byłbym bardzo szczęśliwym, gdybyś mi pan szczerze obiecał, że pan na Wielkanoc przyjmiesz św. Sakramenta.

— No to dobrze, niech będzie, daję słowo! — zapewniał M.

Ksiądz proboszcz poszedł uradowany do domu.

Wielkanoc przyszła; ale kto nie przyszedł do Spowiedzi? M. Minęła Wielkanoc, ale p. M. nie przyszedł.

Duszpasterz znowu poszedł do krawca i czynił mu poważne przedstawienia.

— Prawda — mówił M. — źlem zrobił, ale już po Wielkanocy, zaczekam na drugi rok.

I w ten sposób jeszcze kilka lat minęło. Pan M. co sobotę „sumiennie“ chodził do szynku i za każdym razem aż w poniedziałek rano powracał i regularnie bił żonę.

— To musi przecież raz ustać — myślał zasmucony proboszcz — muszę się wziąść na sposób.

Z końcem grudnia ujrzał M., który pilnie pracował, bo to nie było w sobotę wieczór, proboszcza nagle wchodzącego.

— Kochany panie M. — rzekł kapłan — przychodzę...

— O! już wiem księżę proboszczu, po co, ale proszę być spokojnym, tym razem dotrzymam słowa, ale teraz przecież dopiero koniec grudnia.

— Naturalnie, że do Wielkanocy jeszcze dość czasu — rzekł proboszcz — ale ja dzisiaj w innym celu przychodzę, proszę mi wziąść miarę na nową sutannę.

Na te słowa rozjaśniło się oblicze krawca. „Będzie za co pić!“ — pomyślał i wziął miarę.

— Ale niech pan dobrze i mocno zrobi, z dobrego sukna i aby tak dobrze leżała, jak stara.

— Proszę być spokojnym; ksiądz proboszcz wie, że się na mnie można spuścić.

— Hm! tego mi pan musisz pierwej dać dowód... Ale teraz pieniędzy nie mam, zapłacić mogę dopiero koło Wielkanocy.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, wszak wiem, że na to mogę liczyć — uśmiechnął się p. M. — rzecz skończona, na Nowy Rok może ks. proboszcz mieć nową sutannę.

Znowu przyszła Wielkanoc, krawiec siedział jak na szpilkach.

— Proboszcz przyjdzie i zapłaci za sutannę — rzekł do siebie — i znowu mi palnie kazanie o Spowiedzi.

Ale Wielkanoc minęła, a proboszcz z pieniądzmi nie przyszedł. Tak minął jakiś czas, p. M. chciał odebrać swe pieniądze, bo ich bardzo potrzebował, na plebanię jakoś nie miał ochoty iść, ale co robić? Czekał do drugiej niedzieli po Wielkanocy. Wreszcie nabrał odwagi i poszedł na plebanię.

Proboszcz widząc go, wyszedł na przeciw niemu i bardzo uprzejmie go powitał:

— Ach! dzień dobry panu, kochany panie M., rzadki gość! Cóż pana do mnie sprowadza? Proszę siadać z łaski swojej!

— Ks. proboszcz bardzo łaskaw — odrzekł krawiec, ocierając kroplisty pot z czoła... — przyszedłem...

— Najprzód powiedz mi pan — przerwał proboszcz — jak się ma poczciwa żona pańska?

— Dziękuję, dobrze się ma, ale interes jakoś nie dobrze idzie, dlatego przyszedłem aby...

— Paneś się spocił, zamknę okno, abyś się pan nie przeziębił — rzekł znowu proboszcz.

— O proszę się nie fatygować; świeże powietrze nic mi nie szkodzi, przyszedłem prosić...

— Ale w tej porze osobliwie przeciąg szkodliwy; mam w parafii kilku chorych na piersi.

— Słyszałem o tem, ale ja przyszedłem po pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Ksiądz dobrodziej wie; za sutannę, którą w końcu grudnia zrobiłem, a za którą mi W. ksiądz proboszcz obiecał na Wielkanoc zapłacić.

— Ach! tak! tak! więc pan po to przyszedł... szkoda żeś pan pierwej nie przyszedł... Wszak już po Wielkanocy... będziemy zatem musieli czekać aż do drugiej.

Krawiec osłupiał, ktoby mógł pomyśleć, że ksiądz proboszcz tak doń mówić będzie; wy-

trzeszczył oczy i nie chciał własnym uszom wierzyć... czy źle zrozumiał...

— Muszę panu, panie M. powtórzyć, że już po Wielkanocy i że mamy jeszcze cały rok czasu.

— Ale — rzekł krawiec — obietnica zawsze obietnicą, czy Wielkanoc minęła, czy nie; zawsze czas jest, aby obowiązek swój spełnić.

— Tak! Teraześ pan wielką prawdę powiedział — mówił dalej proboszcz, patrząc ostro na krawca — już podczas chrztu św., chrzestni rodzice w imieniu pańskiem, obiecali spełniać chrześcijańskie i kościelne swe obowiązki... a czyś pan tej obietnicy uroczyście przy pierwszej Komunii św. nie odnowił? A jakżeś pan tej obietnicy dotrzymał? Czyś mnie pan tyle lat nie zwodził wymówką, że już po Wielkanocy? A dlaczegóż pan żądasz, abym ja względen pana Jana M. był akuratniejszym i sumienniejszym, jak pan Jan M. był względem Pana Boga? Bardzo mi przykro, ale ja muszę się trzymać tej praktyki co pan, bo tak mi się najwygodniej wydaje.

Pan M. aż nadto dobrze wiedział, że go ks. proboszcz ani na szeląg nie skrzywdzi, ale zrozumiał także siłę dowodów, któremi niegodziwość jego postępowania wykazał. Wziął te słowa niby za żart, skłonił się grzecznie i poszedł.

* * *

Siedm lat po tej rozmowie, ksiądz proboszcz z B. zgromadził około siebie, jak to corocznie zwykł był czynić radców kościoła. Jan M. był jedną z najlepszych owieczek ks. proboszcza, żony nie bił, interes szedł świetnie, a nadto został członkiem nadzoru kościelnego.

Gdy podczas obiadu ks. proboszcz traktował gości winem własnego wyrobu, podziękował ku zdziwieniu wszystkich pan M. i nalał sobie szklankę wody.

— Cóż to jest, panie M.? pan nie pijesz?

— Nie, księże proboszczu, ja już wina nie piję, mocno to sobie postanowiłem.

— Od kiedyż to?

— Od dnia, w którym do księdza proboszcza przyszedłem po pieniądze za sutannę.

Z życia św. Franciszka Salezego.

Ten święty biskup, wizytując swą dyecezyę, został uwiadomiony, że pewien poczciwy wieśniak pragnie otrzymać jego błogosławieństwo przed śmiercią. Natychmiast udał się do niego i obaczył starca czcigodnego już bliskiego śmierci, a jednak zupełnie przytomnego.

— Księże biskupie — rzekł starzec ujrzawszy go — błogosławię Boga, że mogę, nim zamknę oczy, otrzymać twoje błogosławieństwo!

Następnie prosił o spowiedź. Wszyscy wyszli; a po spowiedzi zapytał starzec św. biskupa:

— Księże biskupie, czy ja umrę?

— Mój drogi przyjacielu — odrzekł święty Franciszek — lekarz mógłby wam to lepiej powiedzieć jak ja.

— Ja pytam o zdanie waszej biskupiej Mości; co ksiądz biskup o tem myśli czy ja umrę?

— Wszyscy ludzie muszą umierać, a chwila śmierci jest niepewna. Co do was, to wcale nie jest rzeczą pewną, że wasza godzina już wybiła; widziałem, że ludzie gorzej się mieli, a powrócili do zdrowia.

— Księże biskupie— odrzekł poczciwiec — proszę nie myśleć, że ja dlatego o to pytam, jakobym się bał śmierci, przeciwnie, boję się, że nie umrę!

Święty Franciszek zdziwił się, usłyszawszy te słowa: wiedział bowiem, że pragnienie śmierci przychodzi duszom bardzo doskonałym, albo tym, które są bardzo niedoskonałe i oddają się rozpaczy.

— Więc nie żal wam życia? — zapytał biskup.

— Tak mało mi go żal, że gdyby mi Pan Bóg nie był rozkazał zostać na mem stanowisku tak długo, aż mnie zawezwie do siebie, już dawnobym je porzucił.

— Ale powiedzcie mi, dlaczego czujecie takie zniechęcenie do życia? Czyż może dolegają wam jakie tajemne cierpienia, boleści ciała, lub może straciliście majątek?

— Wcale nie; mam lat 62 i aż dotąd cieszyłem się czerstwem zdrowiem; majątku mam aż nadto, Bóg pozwolił mi nie zaznać ubóstwa.

— Czy może macie z żoną lub dziećmi zmartwienie?

— Przeciwnie; wszystkie przyjemności, jakich sobie życzyć można; nigdy mi one najmniejszego nie sprawiły zmartwienia i gdyby mi przykro było porzucać ten świat, byłoby to tylko dlatego, że się muszę z niemi rozłączyć.

— Skądże pochodzić może to pragnienie śmierci?

— Księże biskupie — rzekł nakoniec starzec — słuchając słowa Bożego, tyle zawsze słyszałem cudownie pięknych rzeczy o życiu przyszłem i o radościach niebieskich, że życie obecne zdaje mi się być prawdziwem więzieniem!

Następnie mówiąc z obfitości serca o wspaniałości nieba, o nicości dóbr i wielkości ziemskich, wypowiadał rzeczy tak cudowne i wzruszające, że święty biskup aż do łez poruszony został.

Utwierdził go więc w tych wzniosłych uczuciach, kazał mu wzbudzać akty poddania się woli Bożej w życiu i w śmierci, a potem własnoręcznie udzielił mu Sakramentu ostatniego namaszczenia.

Wkrótce potem, cnotliwy starzec umarł spokojnie, nie narzekając na żadną boleść. Po śmierci jego twarz zachowała słodką pogodę zmieszaną z radością niebiańską, jak gdyby dusza jego wychodząc z ciała zostawiła na niej odblask szczęścia wiecznego.

Poświęcenie chrześcijańskie.

Katolicy, żyjący sumiennie według nauki św. Wiary, zawsze gotowi są do wielkich czynów. Żadna przeszkoda nie jest zdolna powstrzymać ich od poświęcenia się, gdy chodzi o chwałę Boga lub miłości bliźniego. Właśnie zdarzył się w naszej Polsce niezwykły wypadek. Oto pewna panna, nazwiskiem Adela Bally, katoliczka, pozwoliła sobie żywcem wyrznąć znaczny kawałek skóry na ramieniu, aby tym sposobem uratować życie chorej niewiasty, matki trojga dziatek. Uczyniła to zaś całkiem bezinteresownie z litości dla chorej pani Borry, choć ta nie jest katoliczką, lecz wyznania kalwińskiego. Nie pozwoliła sobie nawet zadać chloroformu na uśmierzenie bólu, ale z całą prytomnością znosiła przez długi czas boleści zranionego ramienia. Zaprawdę wykonała ona czyn prawdziwie bohaterski. Pan St. W. z Libawy (Kurlandyi) opisuje nam w następujący sposób tę ofiarę: „Nie godzi się nam, pisze tenże, zamilczeć o czynie, jakiego niedawno byliśmy świadkami w Libawie. Pewna pani, rodem ze Szwajcaryi, zmuszona była smutnemi okolicznościami opuścić swoją ojczyznę. To też zostawiając troje dziatek, przybyła do naszej Polski, by szukać zarobku dla siebie i na wyżywienie swych dzieci. A że jest wykształconą, łatwo znalazła posadę nauczycielki. Ale na tym świecie niedoli często się zdarza, że za jednem nieszczęściem goni drugie, co też spotkało i naszą przykładną matkę, bo zachorowała wkrótce na raka w piersi, a wskutek tego nie mogła więcej zarabiać na utrzymanie siębie i dziatek. Z grona mieszkających tutaj pań Polek, znalazły się takie, które zajęły się losem nieszczęśliwej: umieściły ją w szpitalu i otoczyły swoją opieką. Po dwurazowej operacyi uparta rana nie chciała się goić, i zwątpiono już o wyzdrowieniu chorej. Wkrótce jednak biegły lekarz Otton Jahanson, oświadczył, że pozostaje jeszcze ostateczny ratunek, jeśliby jaka młoda niewiasta zdrowej budowy, zgodziła się na wycięcie z ramienia kawałka skóry, potrzebnej do zabliźnienia rany. Pomimo wszakże obiecanych pieniężnych nagród, nie zgłaszała się w Libawie żadna osoba z tą ofiarą. Naraz wreszcie zjawiła się młoda, hoża Szwajcarka, nieznajoma uprzednio chorej i dla uratowania życia stroskanej matce i swojej współrodaczce, bez żadnego wynagrodzenia i bez zażycia chloroformu nawet, z rezygnacyą, godną uwielbiena, jaką daje św. Wiara nasza, wyciąga swe ramię, z którego uszczęśliwiony lekarz skwapliwie wyrzyna znaczny kawał skóry, zbraczając tę dzielną niewiastę obfitym zdrojem krwi.

Rana chorej wkrótce zagoiła się; ale bohaterce długi czas jeszcze starannie opatrywać musiano mocniej bolące ramię“.

Z życia Bł. Jolanty.

Błogosławiona Jolanta, młodsza siostra św. Kunegundy, królowej polskiej, a żona Bolesława księcia Kaliskiego, po śmierci męża razem z siostrą przywdziała habit zakonny. Jako przełożona sióstr Franciszkanek w Gnieźnie, umarła w tamtejszym, przez siebie założonym klasztorze 1298 r. Zwłoki jej, licznemi wsławione cudami, spoczywają dotąd w klasztornym kościele. Ta święta pani, od lat dziecięcych najpiękniejszemi jaśniejąca cnotami, z gorącem nabożeństwem i wśród łez rzewnych zwykła była rozpamiętywać mękę Zbawiciela. Gdy razu jednego podczas rozmyślania z wielkiego żalu mało nie skonała, ukazał się jej Pan Jezus w niepojętej światłości, cały zraniony i biczowany, ciesząc ją i obiecując za wzgardę świata królestwo niebieskie. Odtąd nic miłego, nic przyjemnego dla niej na świecie nie było, a serce jej, lubo jeszcze na ziemi, żyło już tylko w niebie z Bogiem połączone.

Szlachetna zemsta.

8000 (ośm tysięcy) zakonnic francuskich ze zgromadzeń zakonnych rozpędzonych i ograbionych z mienia przez rząd francuski, pracuje obecnie dobrowolnie po szpitalach wojskowych we Francyi i z największem poświęceniem pielęgnuje rannych i chorych żołnierzy. Oto zemsta za krzywdy doznane od rządu, godna zaprawdę wyznawców Chrystusa i córek Kościoła katolickiego.

Wydawca: Ks. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Heleksa.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.